ANIOŁ STRÓŻ

Gazeta dla dzieci.

Bezpłatny dodatek — wychodzi co tydzień.

Rok 1 **CHOJNICE, dnia 24-go kwietnia 1924 r.** **Nr. 4**

Módl się zawsze z uwagą.

Ś. Alojzy zawsze się modlił klęcząco. Jeżeli niekiedy zapomniał na wieczór modlitwy odprawić i bez modlitwy na spoczynek się udał, co przecież rzadko u niego się zdarzało, wtedy, gdy sobie o tem przypomniał, zaraz z łożeczka wyskoczył i uklęknąwszy przy łożeczku, pacierz zmówił. Nadto każdego wieczora łączył z pacierzem krótki rachunek sumienia, a dzień przed każdą uroczystością zazwyczaj dłużej się modlił, a nawet niekiedy w nocy potajemnie wstawał i na kolanach z Bogiem obcował. Raz tak długo w nocy się modlił, że ze znużenia zasnął i zapomniał świecy zagasić. Od świecy zapaliły się firanki i Alojzy byłby się spalił, gdyby go Anioł Stróż nie był obronił. Alojzy obudziwszy się, zawołał slug, którzy ogień zagasili.

Miłość błogosławionego.

Pobożnemu Opatowi Makaremu, który po śmierci był uznanym za świętego, przyniósł pewnego razu jeden z braci żyjących w pustyni Syryi, winogrono. Opat, który żył nie dla siebie tylko ale i dla innych, a to co tylko czynił czynił z miłości dla bliźnich, zaniósł to winogrono jednemu z braci złożonemu chorobą. Chory ucieszony miłością świętego, podziękował za winogrono, ale i chory bardziej pragnął dobra bliźniego aniżeli swego własnego, i dla tego, nienaruszone winogrono, posłał innemu choremu. Ten znowu toż samo uczynił i posłał czwartemu, i tym sposobem przechodziło winogrono z jednego namiotu do drugiego, aż nareszcie dostało się napowrót do rąk tego, z których wyszło.

Opat Makary płakał z radości, widząc taką wstrzemięźliwość i miłość między braćmi.

Przykład dobroci i szlachetności Tadeusza Kościuszki.

Tadeusz Kościuszko oswobodziwszy Warszawę od Moskali i Niemców wjeżdża do niej wśród radosnych okrzyków uwielbiającego go narodu.

Właśnie gdy orszak przejeżdżał ulicą św. Ducha przechodził tamtędy nieszczęśliwy przez biedę i nędzę rymarz, którego tłumy ludu ścisnęły, wnosząc ciągle okrzyki na cześć naczelnika.

Co to jest? pyta zdziwiony rymarz. Czyż nie widzisz, że wjeżdża do miasta zbawca Ojczyzny, generał i naczelnik Kościuszko? — odpowiedziano mu z tłumu.

Rymarz wpatrzył się w Kościuszkę. Wyczytał słodycz i dobroć z jego twarzy. Stroskane jego serce od biedy i nędzy nie tak nad sobą, jak nad żoną i dziećmy, których nie miał czem żywić, rozweseliło się na widok dobrotliwego zbawcy miasta od nieprzyjaciół.

To nasz zbawca — powtórzył rymarz i spokojny odszedł do domu.

Nazajutrz raniutko przyszedł do Kościuszki, który wcześnie wstawał i oddawał się pracy dla dobra kraju.

„Ratuj mię, nasz zbawco!" zawołał rymarz z rozpaczą do Kościuszki, „bo ja, żona moja i dzieci giniemy z głodu".

Dobry Kościuszko poznał prawdziwą boleść nieszczęśliwego ojca rodziny, który nie ma uczciwego zarobku i dał mu dwa talary i rozkazał, aby kupił skóry i narobił batożków na konie do jazdy wierzchem.

Za trzy dni jechał Kościuszko z oficerami przez ulicę Freta, gdzie mieszkał ów rymarz, aby oglądać okopy obronne warszawskiego przedmieścia Pragi. Rymarz stał już przed sklepem z batożkami.

Tu są dobre batożki! — rzekł Kościuszko i zbliżył się do rymarza, wybrał jednak batożek a śmignąwszy nim w powietrzu, spytał:

„Wiele chcesz majsterku za ten biczyk"? — Co łaska, wspaniały nasz naczelniku"!

Kilka złotówek dał mu Kościuszko i obrócił się do towarzyszących mu oficerów, pytając czyby sobie nie kupili bardzo dobrych batożków. Oficerowie za przykładem naczelnika rozkupili wszystkie batożki. A że powszechnie kochano naczelnika Kościuszkę zatem każdy kto tylko konno jeździł, chciał mieć taki sam batożek i od tego samego rymarza. Miał więc ów rymarz tyle zamówień na batożki, że sam nie mógł dać rady robocie, aby ich dostarczyć tyle, ile ich żądano. Musiał nająć czeladników do tej roboty. Tak szlachetny Kościuszko nie tylko wsparł, ale wzbogacił nawet rodzinę owego rymarza. To też rodzina ta sławiła Kociuszkę i zawsze gorąco się modliła za niego i przykazała to czynić swoim dzieciom i wnukom Jakiż piękny przykład dał nam Kościuszko, jak rozumnie wspierać należy ubogich i popierać wyroby swojskie, a nie sprowadzać ich z innych krajów. Schlachetny ten mąż, dzień i noc pracując to głową to orężem nad wolnością swojej Ojczyzny, miał oprócz tego czas także i na ratowanie biednych od nędzy i na wspieranie ubogich nieraz ostatnim swoim groszem.

Jacek z Konarzyn.

Dawno to już temu, tak dawno, że nawet babcia moja, która żyła przeszło 100 lat zupełnie dokładnie tego sobie nie przypominała, żył w Konarzynach, wiosce w okolicy Chojnic gbur nazwiskiem Jacek. Niewiadomo czy go tak w metryce zapisano, ale ludzie go tak nazwali a może też i przezwali.

Oto Jacek znany był daleko i szeroko z swego łaknącego gardła i pragnących ust, dla zaspokojenia których nie pił może zwykłej wody. Broń Boże! Jacek obawiałby się dostać robaka w żołądku, więc był stałym gościem swego świkra Jandrzeja, który posiadał w Chojnicach przy rynku karczmę i wyborną wódkę.

Doszło nawet tak dalece, że Jacek przebywał częściej u Jandrzeja, jak w Konarzynach na swem gospodarstwie. Gdy w niedzielę na nabożeństwo przychodził do Chojnic to pozostawał tu aż do środy lub czwartku. Dzieci z Chojnic mieli z Jacka zawsze swoją uciechę. Gdy bowiem Jacek się napił był wesół, śpiewał za trzech, wywijał rękoma, tańczył „reinlendra" na ulicy, a zawsze klął, że mu ulice niedość szerokie. Dzieci całemi gromadami za nim chodziły, psociły się, przypinały mu szmaty na plecy, a gdy Jacek oburzony gonił za niemi uciekały i pokazywały mu „długi nos".

Przypatrzmy się teraz co w domu Małgosia, jego żona porabiała. Ot Małgosia była pracowitą kobietą i gdyby nie to, już dawno mogła by iść żebrać z torbą i kijem. Ale Małgosia krzątała się, pracowała za siebie i za Jacka, a dobrotliwi sąsiedzi jej pomagali. Biadała na Jacka, błagała i zaklinała go, by zaniechał picia, bo to i ludziom i Bogu się nie podoba. Przemawiała mu do serca i do głowy a pewnego dnia powiedziała mu, że jej się śniło, że Jacka pijanego djabli porwali i do piekła wtrącili. Nic to nie pomagało. Jacek pił jak przedtem tak i potem, nie troszczył się ani o Małgosię, ani o dzieci, mówił, że djabłów nie ma i na tem się skończyło.

Przyszła zaś niedziela i Jacek znowuż udał się do Chojnic. Nie poszedł tym razem do Kościoła tylko zaraz do karczmy, do Jandrzeja. Na rozgrzanie wziął jednego, na spłukanie kurzu drugiego, na odświeżenie głowy trzeciego. Zeszło się kilku kmotrów z Ogorzelin, Swornychgać, Małej i Dużej Kłodawy, pito z okazji tak długiego niewidzenia się i w końcu Jacek nabrał dobrego humoru. Przyszedł mu na myśl sen jego żony, więc jął go opowiadać, naśmiewać, szydzić z Boga i wzywać w zapasy choćby całe piekło. Jacek tak opowiadał, tak strasznie klął, że towarzyszy jego strach ogarniał i jeden po drugim bierząc czapkę w garść cichaczem się wysuwał. Pozostał w karczmie Jacek sam, nie miał z kim rozmawiać, dał sobie jeszcze wlać flaszkę czystej na drogę i nareszcie ruszył z powrotem do domu. Szedł śpiewając i krzycząc, psy miejskie szczekały, jeden i drugi szarpnął za surdut, chwycił za spodnie, wyrwał kawał łaty i wyciągnął koniuszek koszuli. Strażak u bramy wypuścił Jacka, bo był mu znany i chciał się pozbyć jak najprędzej pijaka. Idzie więc Jacek drogą polną do Konarzyn w dobrej nadziei z butelką w kieszeni.

Nagle spochmurniało niebo, zerwał się wicher i rozszalała burza niby ryk piekła. Uderzał piorun po piorunie, że aż ziemia się trzęsła i wśród tego wszystkiego ze sklepienia nadpowietrznego wyłania się djabeł z rogami nał bie, jedną końską nogą, krowim ogonem i dalej czepia się Jacka. Daremnie Jacek usiłuje się żegnać, ręka bezwładna nie dosięga czoła, usta nie wybełkocą słowa Bożego. Opuścił Jacka Anioł Stróż i szatan nim owładnął. Schwycił go za łeb i dalej z nim w powietrze. Pomału jednak Jacek oprzytomniał i wywietrzała mu z głowy gorzałka. Rzucał się tedy jak opętany, gryzł djabła w ogon, że ten z bólu aż zawył, więc djabeł chciał Jacka jak najprędzej utopić.

Unoszą się już prawie nad wielkiem jeziorem w drodze do Konarzyn i już djabeł nurza Jacka w wodzie, gdy ten z całych sił wrzeszczy pomocy, tak że mieszkańcy okoliczni go usłyszeli i jęli za niego pacierze mówić. Djabeł słysząc pacierze i widząc, że to nie przelewki uniósł się wyżej. Widziano go jeszcze jakiś czas nad lasem a potem znikł z oczu.

Jacek dostał się do piekła i tam nalewano mu do ust gorącą gorzałkę. Lecz i djabeł ma podobno odrobinkę litości, wiec po długim czasie mąk zrobił z Jacka kelnera, który miał obsługiwać złych duchów w piekle na biesiadach. I cóż się dzieje? Oto zadługo Jacek pił gorzałkę, aby nawet w piekle módz pokusę pokonać, więc za każdym razem, gdy ma zanieść szatanom wódki, wypija pół kieliszka i dolewa zwykłej wody, aby djabli się nie pomiarkowali. Podobno tak też robią i ludzie i niewiadomo czy Jacek nauczył się tego od ludzi, czy też ludzie od Jacka.

Skarb zdrowia.

Pewien wieśniak znużony podróżą, którą był przymuszony pieszo odbywać, przechodząc przez wieś, wstąpił do gościńca i kazał sobie dać piwa i kawałek chleba razowego, niekontent z tego, że musiał piechotą chodzić i do tego tak skromnym kąskiem głód zaspokajać.

Gdy w cichości złorzeszył losowi, nadjechał pojazd, w którym siedział pan zamożny. Ten kazawszy sobie wynieść wina i pieczeni, zajadał w pojeździe. Ach! gdybym i ja podobnie mógł zajadać, pomyślał sobie wieśniak spoglądając na bogacza z ukosa, zazdroszcząc mu lepszego bytu. Bogacz, którego uwadze nie uszła złość tajemna i niezadowolenie wieśniaka, odezwał się do niego: „przyjacielu! nie chciałbyś przypadkiem pomijać się na mój stan ze mną?" Bez namysłu, odpowiedział wieśniak: „a czemuż nie, z ochotą." Wyjdź tylko, oddaj mi wszystko co masz, a ja ci nawzajem z ochotą oddam to, co posiadam; poczem bogacz rozkazał służącym wysadzić się z powozu. Ale o niebo! jakiż widok uderzył wieśniaka, nogi bogacza były bez władzy, nie mógł stać o swej mocy, tylko służący jego tak długo musieli go trzymać, dopóki nie zniesiono mu krokwi. „Czy masz jeszcze ochotę uczynić zamianę", zapytał bogacz? „uchowaj Boże! moje nogi zdrowe, są mi daleko milsze, aniżeli wszystkie bogactwa", odpowiedział wieśniak. „Masz prawdę, rzekł tamten, ubogi, ale zdrowy biedak, szczęśliwszym jest od — bogatego kaleki".

Krzywda ukarana.

Rozpustny jeden chłopiec, przypatrywał się jak mularze gasili wapno, to mu się bardzo podobało, i aby mógł podobne doświadczenie w domu powtórzyć, wziął ukradkiem tak, że murarze tego nie spostrzegli, kawał wapna i schował pod kamizelkę. Na nieszczęście spotkał znajomego, który jechał do wody konie pławić; chłopiec prosił, aby mógł wsiąść na jednego z koni, zezwolił na to znajomy, a chłopiec konno wjechał w wodę. Tu zaczął konia zdzierać, koń zniecierpliwiony tem, zrzucił chłopca w wodę, z której byłby się może wyratował dla tego, że umiał pływać, ale woda dostała się do wapna i to zaczęło się palić. Czując chłopiec, że się wapno pali, wzywał pomocy, lecz ci, którzy nad wodą stali i wiedzieli, że chłopiec umie pływać, brali krzyk jego i wołanie, że się w wodzie pali, za żart i rozpustę, Wprawdzie dostał się do brzegu, ale już nie było żadnego ratunku i wśród najokropniejszych bólów, musiał umierać.